

Intencja

Już się temu przyglądaliśmy: „*Communio sanctorum*”. Jakże ci to wytłumaczyć? Wiesz, czym dla ciała jest transfuzja krwi? Tym samym dla duszy staje się świętych obcowanie. Przeżywajcie w szczególny sposób świętych obcowanie, a każdy odczuje – zarówno w chwili walki wewnętrznej, jak i podczas pracy zawodowej – radość i siłę wypływające ze świadomości, że nie jest sam” – pisał św. Josemaría.

Stoi się przed poważnym problemem, wszystko wydaje się być zagmatwane, poplątane, nie pomaga żadna rada... i nagle otwierają się jakieś drzwi, roztapia się lodowy pancerz wieloletniego żalu, a twardy i zgorzkniały człowiek zaczyna płakać i pyta się nieporadnie: Co mam teraz zrobić? Być może jako ksiądz odczuwa się zaskoczenie wobec takich wspaniałych cudów w szczególnie sposób. Nigdy się nie dowiem, jak mogło dojść do takiego cudu. Jedno jest pewne – nie ja do niego doprowadziłem. Oczywiście to zawsze miłość i łaska Boża są odpowiedzialne za cuda, szczególnie za takie cuda. Ale możliwe, że ktoś wysłał mi transfuzję krwi w postaci intencji – jakaś karmelitanka bosa, jakiś chory leżący na oddziale intensywnej terapii, jakaś matka, która przemadla cierpienie swoich dzieci, jakiś brat przebywający w domu spokojnej starości, jakaś staruszka, która o chodziku przyszła do kościoła, żeby zapalić świeczkę przy figurze Matki Bożej za chorą sąsiadkę... Jak dobrze jest czuć, że ktoś modli się za mnie. To wzmacnia tę pocieszającą świadomość: nie jesteś sam.

Jak cudownie jest z kolei modlić się z a kogoś i tym samym d z i e l i ć z nim jego miłość, jego troski, jego sprawy: „Jeden drugiego brzemiona noście i tak wypełniajcie prawo Chrystusowe” (Ga 6,2). Gdy próbuję wziąć na ramiona chociaż trochę ciężaru drugiego człowieka, wtedy nie tylko wypełniam prawo Chrystusowe, ale wykruszam z siebie część pancerza pod tytułem „ja, ja, ja”, które zawęża i postarza moje serce.

Modlić się z a kogoś. Nieść z nim jego ciężar, który nie zawsze od razu zniknie. Trzeba być ostrożnym z naszym upodobaniem

do karetok pogotowia: „Hej, nadchodzę!”, o sygnale i z pełną apteczką ratujących życie rozwiązań... żeby potem wycofać się w gniewie i rozczarowaniu, kiedy moje porady nie od razu są stosowane. Spokojne, pokorne współtniesienie w modlitwie, proste bycie tu i teraz dla drugiego człowieka, troska o niego – jest w oczach Boga, a także w oczach tego, któremu chcę pomóc, nieporównywalnie ważniejsza niż dobre rady. Oczywiście modlitwa nie może stać się wymówką, by nie robić tego, co można by zrobić. Ale również podejście typu „przecież nie mogę nic zrobić”, może łatwo stać się wymówką – wymówką tkwiącego we mnie niedowiarka, który zasadniczo jest zdania, że modlitwa i tak niczego nie zmieni.

zrobiło? Co by go naprawdę uszczęśliwiło? I kiedy Boga konkretnie o to poproszę: „Jezu poślij do niego dzisiaj kogoś, kto go pocieszy, dzięki komu poczuje, że jest kochany...”, wtedy naprawdę pomodłę się za tego człowieka.

Oczywiście nie muszę tłumić czy ukrywać swoich uczuć podczas modlitwy. Spokojnie mogę oddać Bogu wszystko, co negatywne, wszystkie błędy, ciosy i niesprawiedliwości innych ludzi. Ale kiedy dopuszczę do siebie pytanie: „Jezu, czego właściwie oczekiwałeś, kiedy postawiłeś na mojej drodze tego uciążliwego człowieka?”, wtedy mój punkt widzenia zmienia się i zaczynam się modlić: „Panie, błogostaw mu; spraw mu dzisiaj jakąś radość, której się nie spodziewał; spraw, żeby ktoś mu dzisiaj podarował trochę ciepła i miłości; Panie, błogostaw mu”. Po takich słowach wszelkie uprzedzenia i oskarżenia opuszczają moje serce, a rozkojarzenie zamienia się w miłosierdzie i pragnienie dobra. I kolejne spotkanie z tym człowiekiem jest zupełnie inne – nie tylko patrzę na niego innymi oczyma, ale też inaczej go oceniam, mam dla niego więcej współczucia – na to, jaki jest i na to, czego naprawdę potrzebuje. Jeśli mimo wszystko jestem zdania, że jest wobec mnie niesprawiedliwy, już się go nie boję. Mogę poczuć się dobrze w jego obecności i szczerze powiedzieć: „Dobrze, że jesteś...” – i to nie gdzieś daleko, na drugim krańcu świata, ale tu, w tym biurze, w tym domu, w tej sypialni. A poza tym – kiedy jest się mimo wszelkich trudności braćmi i siostrami? Przy mamie.

Uczenie modlitwy

Jedną z pierwszych i podstawowych misji apostołskich to uczenie ludzi modlitwy. „Jeśli nie będziecie pomagać ludziom w modlitwie, to tylko stracie czas” – powtarzał często św. Josemaría.

**Słowa, jakie św. Josemaría
stałe kierował do Boga
w swojej modlitwie,
brzmiąły: „Jezu, pozwól mi
zobaczyć Twoimi oczyma” –
świat, Kościół, moje życie,
moją pracę, ludzi, których
mi powierzyłeś...**

Jednak najważniejszą z wszystkich pomocy w modlitwie jest bez wątpienia pomodlenie się z drugą osobą. Pewien mój znajomy, ojciec rodziny i ordynator szpitala uniwersyteckiego, zderzył się kiedyś czołowo z piratem drogowym. W pojeździe pojawił się ogień; mało brakowało, a spłonąłby. Kiedy odwiedziłem go w szpitalu po tym, jak przeszedł liczne przeszczepy, pokazał mi nieduży, metalowy różaniec na palec i powiedział: „To on uratował mi życie”. Potem opowiedział mi, jak młody lekarz z jego oddziału zaprosił go na dwa dni przed wypadkiem na pielgrzymkę. Nie odmówił tylko dlatego, że akurat nie znalazł dobrej wymówki. Nigdy wcześniej nie modlił się w świadomy sposób różańcem, nie mówiąc już o p i e l - g r z y m o w a n i u. Dostał od swojego kolegi wspomniany różaniec na palec i kartkę z modlitwami, na którą zerkał, kiedy przystawali w lesie przy kolejnej kapliczce maryjnej. „Naprawdę – powiedział, kiedy zobaczył moją zadziwioną minę – ten różaniec uratował mi życie”. Wtedy, kiedy wydarzył się wypadek, nosił go na palcu..., ale przede wszystkim, jak dopowiedział: „Trzymałem się go kurczo - wo tu, w szpitalu, kiedy nie byłem w stanie ani myśleć, ani spać, ani płakać, a co dopiero modlić się”.